



ANTONI LANGE

---

# Nowe mieszkanie

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

ANTONI LANGE

W CZWARTYM WYMIARZE

## Nowe mieszkanie

Historia, którą mi pan opowiada — mówił doktor — jest rzeczywiście tak dziwna, że niemal nieprawdopodobna. I gdyby pana nie znaleziono tam w tej szopie, na pustym podwórku... I pan istotnie nie wie, jakim sposobem pan się tam znalazł?

— Nie mam pojęcia...

— Jakieś działanie bezwiednych a nieznanymi sił duszy, rozszczępienie jaźni nad wyraz ciekawe i wyjątkowe. Nie mogę jeszcze się zorientować. Proszę mi powiedzieć tylko jedno: czy pan kiedy myślał o samobójstwie?

— O samobójstwie? Doktorze, wydobywaś ze mnie pamięć dawno minionych dni. Istotnie, byłem wtedy bardzo młody, blisko dziesięć lat temu, gdy mnie naraz dotknęły dwa wielkie nieszczęścia. W życiu moim nastąpiło załamanie. Miałem wtedy, pewnie pod wpływem rozpacz, jakąś głęboko utajoną, odruchową dążność do samobójstwa, a która objawiała mi się raczej we śnie, niż na jawie — i przy tym w sposób bardzo szczególny...

— Szczególny? Znow coś osobliwego?

— Być może. Miałem od czasu do czasu we śnie widzenie liczby. Nagle, nie wiadomo skąd i jak, ukazywała mi się w ognistych cyfrach liczba 33. Dlaczego 33 — nie wiem, ale, przez jakieś tajemnicze skojarzenie, wiedziałem, że ta liczba 33 znaczy dla mnie tyleż, co śmierć samobójcza. Z moich obserwacji wynika, że takie skojarzenia senne mają zawsze charakter jakby półświadomego jasnowidzenia. Taki niepojęty łącznik istniał dla mnie zawsze między liczbą 33 a samobójstwem. Na jawie nigdy o tym nie myślałem, nie dlatego, żebym nadmiernie kochał życie, ale po prostu, że mi zawsze był wstrętny szereg tych rękoczynów, jakie są konieczne do aktu samobójstwa.

— I często się to powtarzało?

— Przez pewien czas dosyć często. Rozumiałem, że to wróżba śmierci, tymczasem minął rok 33, dochodzę czterdziestu lat, a jednak żyję, nie umarłem.

— Dziwne, dziwne! Być może w najgłębszej, roślinnej głębi pańskiej jaźni myśl ta przechowała się jako zasadnicza dźwignia pańskiej duszy.

— Tego nie wiem. W ogóle mam w sobie pewną dwoistość i moje życie senne jest nader dziwne, zgoła odmienne od jawy: na jawie mam umysł trzeźwy, ścisły, żadnym rojeniom nie podatny. Sen wyprawia ze mną dziwy. Ścisłe biorąc, to ostatnie moje zdarzenie jest to również wynik tego fenomenu podwójności, który we mnie występuje, w sposób mnie samemu niezrozumiały. Jestem prawie zupełnie niemuzykalny, pozbawiony słuchu, najprostszego krakowiaka fałszuję. Tymczasem, jak to wiem od znajomych, po nocach, przez sen, śpiewam z nadzwyczajną siłą i harmonią wprost nadziemską. Na wsi u X., gdzie często bywałem, umyślnie usypiano mnie, aby posłuchać koncertu. Jest to szczególny objaw somnambulizmu słuchowego. Sąsiedzi moi na ogół byli ze mnie niezadowoleni, tylko pewna staruszka mówiła, że ten śpiew — to głos chórów anielskich, który wieści przynosi z nieba, i tylko ludzie dla<sup>1</sup> swych grzechów ich nie rozumieją, i że bezbożnie jest gniewać się na to śpiewanie. Większość jednak trzeźwo myślących obywateli naszej kamienicy traktowała sprawę tylko z tego stanowiska, że im spać przeszkadzam, a jeżeli chce mi się po nocach śpiewać, to mogę sobie sypiać w wielkiej operze. Pod ich to naciskiem gospodarz wymówił mi mieszkanie.

— I opuścił pan tę kamienicę?

<sup>1</sup>dla (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

— Właśnie pewnego ranka postanowiłem szukać nowego mieszkania. Byłem zaś w tak równym usposobieniu ducha, jak nigdy. Poprzedniego wieczora studiowałem kwestię mechanicznego równoważnika ciepła i rozmyślałem nad tym, jakby przy tej przemianie ciepła w ruch zaoszczędzić jak największą sumę ciepła, aby się nie rozprasało. Sprawa, jak pan widzi, sucha, liczebna, lodowata, nie mająca żadnego związku ani z czwartym wymiarem, ani ze światem duchów.

Wstałem dość późno, koło dziesiątej, ale nie czułem w sobie najmniejszego śladu zmęczenia ani neurastenii<sup>2</sup>, która mnie gnębi czasami w godzinach rannych. Byłem owszem bardzo podniecony, pełny wewnętrznego uśmiechu, jakbym oczekiwał jakiegoś szczęśliwego zdarzenia.

Chwilowo tylko przygnębiła mnie żona listonosza, moja sąsiadka, która mi rano przynosiła kawę, a która była ze mnie bardzo niezadowolona.

— Znowu pan całą noc hałasy wyprawiał! A to wszystko przez to, że pan nie ma żony; bżika pan dostał i tyle. A ja panu dawałam dobrą radę. — Tu muszę wyjaśnić, że pani listonoszowa chciała mnie ożenić z pewną osobą, zamieszkałą w tym samym korytarzu.

— Pan kawaler, ona — panna, to się żeńcie! A dziewczucha porządna co się zowie, bez feleru. Z profesji jest kamizelczarka — zarabia 27 rubli miesięcznie — a za chłopami nic a nic nie lata. Dobra z niej będzie żona i diabła z pana wypędzi.

Ponieważ jednak nie miałem ochoty do tego małżeństwa — obie te niewiasty mnie znienawidziły — i podobno one to pierwsze poruszyły sprawę mego wygnania z czwartaka, gdzie mieszkałem.

Na chwilę to babskie gadanie w okropny sposób mnie złamało, ale wnet się ocknałem. Znow było mi słonecznie, tęczowo i srebrno dokoła w moim szarym pokoju. Podobno, że owego dnia czas był chmurny, jałowy, niewyraźny. Ja tego nie widziałem — i owszem, nawet żebrak, którego spotkałem przy wyjściu z bramy na ulicę — wydawał mi się jakby odziany w płaszcz z promieni słonecznych.

Ulica nasza była to jedna z tych jałowych ulic warszawskich, które są pozbawione typu i charakteru, a jednak dziś wydała mi się naraz<sup>3</sup> barwna i świetlana.

Wyszedłem z domu z zamiarem poszukiwania lokalu — i postanowiłem udać się do jakiej piękniejszej a zacisznej dzielnicy. Ze zdumieniem jednak widziałem, że te strony, które opuszczałem, a które zazwyczaj wydawały mi się takie nieładne, dziś przybrały zupełnie nowy charakter i koloryt.

Nie pojmowałem zupełnie, skąd się wzięły te barwne i fantastycznie pobudowane kamienice, architektury zupełnie odrębnej, niby to pałace florenckie, niby świątynie indyjskie, im dalej szedłem, tym przepych budynków był wspanialszy i bardziej zdumiewający.

Nad miastem bezchmurne, cudownie szafirowe niebo, a w powietrzu słyszałem harmonijną muzykę dzwonów, jakby po całym mieście rozkołysanych, a z dźwiękiem muzyki łączył się chór ptaków śpiewających jakby pieśni anielskie — brzęk tysięcy unoszących się po powietrzu pszczoł i różnobarwnych muszek i komarów. Wszędzie też latały większe i mniejsze nieznane ptaki oraz ognisto-żółte i ognisto-srebrne motyle. Pomiędzy budynkami zieleniały liczne ogrody, pełne gęstych drzew i przedziwnych kwiatów, których dotychczas nigdy nie spotykałem. Upajające zapachy unosiły się dokoła, a w ogrodach stały posągi nieznanych nigdy na ziemi bogów i aniołów.

Na koniec, gdy wyszedłem z labiryntu ulic bocznych na linię główną — rozwinęła się przed moim okiem nieskończona, w obie strony płynąca perspektywa. Był to szeroki, wielki bulwar, bogato zadrzewiony; szereg wspaniałych pałaców i świątyń o wysokich wieżach snuł się wzdłuż bulwaru. Na krańcu bulwaru od północy było wysokie wzgórze z olbrzymim na szczycie posągiem, który z daleka promieniał jak słońce, na południe widziałem fale szmaragdowego morza, a na nim płynące okręty. Na bulwarze barwy domów, drzew, posągów, świątyń harmonijnie zlewały się w łagodną otęcz, a promienie słońca, niemal dotykalne, snuły się po bruku, po ścianach i po twarzach przechodniów. Tłumy ludzi urodziwych, pełnych szczęścia i wesołości — krążyły po ulicy. Kobiety cudnej piękności, w szatach jakby wyśnionych, kroczyły lekko, zaledwie stopą dotykając ziemi.

Środkiem ulicy toczyły się pojazdy, zaprzężone w konie — rzekłbyś — skrzydlate.

<sup>2</sup>neurastenia — nerwica, nadpobudliwość. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

Zdumienie moje rosło bezgranicznie. Skąd ja się tu wziąłem? — przecież to jakieś nowe, obce mi, nieznanne miasto! Czy to sen — czy obłąd — czyli<sup>4</sup> baśń arabska? Przecierałem oczy, powtarzałem sobie różne formuły z mechaniki, aby sprawdzić swoją przytomność.

Nie — to nie sen — to rzeczywistość.

Właśnie spotkałem kilku znajomych — najbezcelniej ich zapytuję:

— Moi panowie, w jakim to mieście my jesteśmy?

— Cha, cha! Co za żarty, drogi panie! Niby to pan nie wie!

I pożegnali mnie ze śmiechem, a ja dopiero teraz zacząłem się zastanawiać. Przecież to był Lucjan i Michał, którzy umarli już trzy lata temu.

— Więc jakże?

Nie mogłem tego zrozumieć, a po chwili wydało mi się to rzeczą zupełnie prostą i naturalną.

Zacząłem się rozglądać wokół i zobaczyłem na bulwarze dom, a na bramie kartkę błękitną. Dom był niewielki, dwupiętrowy, ale miał w sobie coś tak pociągającego, że mi naraz błysnęła myśl: gdyby to zamieszkać na zawsze!

Na kartce była wiadomość, że w tym domu jest pokój do wynajęcia. Ruszyłem tedy po schodach i znalazłem się przede drzwiami odpowiedniego lokalu.

Na drzwiach była przybita metalowa tabliczka, na której nie bez zdumienia odczytałem swoje własne imię i nazwisko. Choć byłem teraz przygotowany na najniemożliwsze rzeczy, wydało mi się jednak niezmiernie dziwnym, że mam wynająć mieszkanie u samego siebie. Stałem też przez chwilę w sieni, nie mając odwagi zadzwonić. Zwłaszcza zadrżałem, gdy usłyszałem w mieszkaniu pieśń jakby dawno znajomą.

— Co to znaczy? — mówiłem sam do siebie, ale razem wydawało mi się to wszystko zupełnie zgodne z przyrodzonym biegiem rzeczy.

Kiedym już przemógł wzruszenie, chciałem zadzwonić, ale naraz drzwi, jakby posłuszne mojej myśli, same się otwarły.

Zatrzymałem się w przedpokoju i spojrzałem do saloniku obok. Były tam dwie kobiety; nie mogłem dostrzec ich twarzy, gdyż odwrócone były ode mnie — i, zdaje się, nie wiedziały o mojej wizycie. Starsza, siwowłosa pani, siedziała przy klawikordzie, gdy młodsza, jasno-złota blondyna, stała obok niej, śpiewając dziwnie pięknym głosem melodię, którą ta druga grała na instrumencie.

Melodią, którą grała starsza pani, była znana mi od dzieciństwa pieśń, ulubiona pieśń mojej matki, stara i zapomniana, bardzo naiwna i prosta, ale która mnie zawsze porusza do głębi, kiedy ją wspomnę.

Metalicznym, cudownym sopranem śpiewała młodsza osoba:

Spośród farysów<sup>5</sup> któż nie był gotów  
Piosnkę dla ciebie zanucić?  
Koić mój nie złąkły ni burz, ni grzmotów,  
Pośpieszał, by do cię wrócić.  
Pamiętasz piosnkę? Ona-ż zaginie,  
Którą dla ciebie nuciłem?  
Pamiętasz stepy, głucho pustynie,  
Przez które do cię śpieszyłem?  
Stepy piaszczyste, stepy szerokie!  
Serca farysów niezmiennie!

---

Nie byłem w możności dłużej wytrzymać. Naraz wybuchnąłem wielkim płaczem, co mi się nigdy nie zdarza. Obie kobiety przerwały śpiew i muzykę — i zwróciły się ku mnie.  
— Henryk! — zawołały obie naraz, a ja takem się na nie patrzył, jakbym już od dawna czekał na to zjawienie.

Padłem na kolana i obie kobiety całowałem po rękach.

<sup>4</sup>czyli — czy z partykulą pytajną -li. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>farys — arabski jeździec. [przypis edytorski]

— Matko! Mario ukochana! Jakżem szczęśliwy, że was widzę raz jeszcze. Powiedźcie mi, jakże to się stało, że wy tu znowu jesteście? Słodko mi jest was widzieć, ale zaczynam nic nie rozumieć. Tyle lat, jakeście odeszły. Razem w jednym roku — i prawie jednego dnia — umarłyście, a teraz znowu życie — i znowu widzę was — i mogę z wami rozmawiać. Tylko trzeba was było znaleźć — i to tak niedaleko. Nie pojmuję tylko, jakim się tu do was dostał. Przecież dzisiaj rano byłem jeszcze tam. Niechajże się wam przyjrzyć! Tyle lat minęło od chwili, gdy was widział po raz ostatni. A tak pragnąłem umrzeć, kiedyście wy umarły; takem pragnął iść za wami! I sam błędziłem po ziemi jak umarły. Dzięki wam, żeście mnie tu wywołały, bo tylko przez waszą potęgę mogłem tu przeniknąć.

Tak mówiłem i przyglądałem się twarzom tych dwu najukochańszych istot: były takie, jak w chwili, gdy opuszczały ziemię, ale tak jakoś zblękitniały, tak zesrebrniały, jakby się zmieniły w postacie wiekuiste, a wszystkie ślady trosk ziemskich i nędz gorycze — zniknęły z ich oblicza, które jaśniało pogodą empiryjską<sup>6</sup>. Całe życie moje od kolebki do grobu jak w błyskawicy przesunęło się teraz przed moim okiem — i zaczynałem rozumieć istotne znaczenie każdego momentu. One to — te dwie kobiety — widma czy anioły, opowiadały życie moje w sposób zgoła odmienny, niż mi się to zdawało dotychczas. Niepodobna<sup>7</sup> mi — choć doskonale pamiętam — rozmowy ich powtórzyć: była to raczej muzyka niż słowa, raczej śpiewanie; jakby ciągle w różnych wariacjach snuła się melodia starej pieśni o farysach.

W czarodziejskim byłem świecie; czas niby to płynął bez końca, a przecież stał w miejscu i była ciągle ta sama chwila. Zrozumiałem w końcu, że to kraina umarłych, bo choć sam bezwiednie ciągle o tym myślałem i mówiłem, ale nie mogłem zdać sobie sprawy ze stosunku mojego do tej nowej rzeczywistości. Rozumiałem, że to kraina umarłych, ale że ja jestem żywy i obie umarłe kobiety, moja matka i żona, którą po roku pożycia utraciłem, wiedziały, że ja nie umarłem, ale że jestem żywy, a one nie żyją. Rozumiały też moją niższość wobec siebie, jak ja rozumiałem ich wyższość.

Bezwarunkowo stały one na bardziej świetlanym punkcie rozwoju ducha niż ja, grubomaterialna istota ziemska. Anielskość, którą miały już na ziemi, tu rozwinęła się w pełni.

Uderzało mnie tylko i mile zarazem, i przykro, że, przy całej różnicy, świat ten jest dziwnie podobny do naszego. W moim wyobrażeniu na tym świecie miały być jakieś w złotych mgławicach pływające wyspy, z eterów uplecione, gdzie żyją ludzie zgoła sobie niepodobni, w nadziemską, nadmaterialną przekształceni postać. Tymczasem tu...

Oto zaś jak Maria rzecz mi tłumaczyła.

— Nie jeden jest świat, ale tysiące i właściwie człowiek żyje w różnych światach jednocześnie, ale zamknąć się musi w jednym, aby spełnić swoje przeznaczenie. Abyś mógł nas zobaczyć, musiałyśmy przyjąć postać oku twojemu dostępną, a wraz z nami zmieniło się i całe otoczenie. Dlatego zeszyliśmy o pewną ilość stopni niżej naszego punktu na kole bytu. Wy życie cząstką bytu, a my całością. Nie sądz, że jesteśmy gdzie daleko. Przebывamy koło ciebie, w tobie samym. Przestrzeń istnieje tylko dla oka ziemskiego. Oko waszego ducha leży na wielkim kole nieskończoności, ale widzi tylko jeden stopień, raczej jedną jego minutę, jedną sekundę, a tych stopni jest — mówiąc po ziemsku — trzysta sześćdziesiąt. Teraz oblicz, ile minut, ile sekund. Otóż twoje oko przesunęło się o kilka stopni i zobaczyłeś świat nieco inaczej, niż on ci się zwykle przedstawia; ale w istocie swojej jest on jeszcze innym, niż go widzisz teraz, i my wyglądamy jeszcze inaczej, niż ci się teraz przedstawiamy, ale nie mógłbyś nas w tej istotnej formie zobaczyć. Rozumiesz?

Oczywiście, rozumiałem tę melodię doskonale i nie wiem, dlaczego dotychczas nie odgadł tak prostej rzeczy. Minął czas nieokreślony, gdy naraz zauważyłem jakby zmianę dokoła. Przejrzyste powietrze z wolna się zaczęło rozwiewać; świetlna, złoto-fioletowa mgła osnuła pokój, dźwięki fortepianu przygluchły, jakby się oddalały coraz bardziej; szary półmrok otoczył wszystko, a postacie mojej matki i Marii przybrały charakter półcieleśny, stały się naraz niby srebrno-błękitne, niby przezroczyste. Jeszcze widziałem ich oczy, a potem znikły zupełnie; pokój się rozszerzył w bezmiar, coraz bardziej popielaty, szary, czarny i zupełna ciemność mnie otoczyła. Początkowo rozmyślałem nad tym nowym za-

<sup>6</sup>empiryjski — charakterystyczny dla Empireum, tj. najwyższej sfery niebieskiej. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

gadnieniem, a potem zapadłem w całkowitą nieświadomość. Ile czasu tak upłynęło — nie wiem, gdy naraz jakiś głos, owadzi raczej niż ludzki, szepnął mi w samo ucho:

— Zastanów się. Co robisz?

Głos ten mnie przebudził, otworzyłem oczy, a jednocześnie w uszach mi zabrzmiało dalekie, lecz wyraźne echo srebrnych dźwięków pieśni:

Stepy piaszczyste, stepy szerokie!  
Serca farysów niezmiennie!

Zacząłem się rozglądać wokoło. Dokoła mnie były ciemności, czułem tylko przejmujące zimno. Wzrok mój powoli się przyzwyczajał do otoczenia. Była to, jakem się później przekonał, szopa czy stodoła. Leżały tu stopy węgla kamiennych, drzewa i siana.

Pod moimi nogami stał szeroki pień dębowego drzewa, który — zdaje się — służył za oparcie traczom przy piłowaniu. Ja zaś sam znajdowałem się jakby zawisły w powietrzu, nogami z lekka oparty o pień dębowy; na szyi zaś miałem stryczek dość gruby, umocowany na haku, i najwidoczniej miałem zamiar się powiesić.

Tajemniczy głos półświadomej, roślinnej duszy mojej, która pierwsza oprzytomniała, obudził mnie i do życia powołał. Instynktowo zerwałem stryczek i zeskoczyłem na ziemię. Jakim sposobem znalazłem się w tej stodole — nie wiem. Gdzie się podziało to cudowne miasto, które widziałem tak niedawno, nie wiem. Całe to zdarzenie uważałbym za sen, gdyby nie namacalna rzeczywistość chwili obecnej, również tajemnicza, jak wszystko poprzednie. Byłem w pospolitej, codziennej, znanej mi Warszawie; tylko w obcym, nieznanym mi domu. Wybiegłem z szopy: na podwórzu było ciemno i tylko blask ulicznej latarni z lekka rozświecał te mroki.

Podwórze było obszerne i niezabudowane; właściwie był to pusty plac do sprzedania, trawą zieloną tu i owdzie porosły, pełny dołów i nierówności; w jednym miejscu było tam wielkie kwadratowe wgłębienie, bielejące wapnem.

Wyznaję, że ta próżnia i ciemność, w połączeniu z pamięcią ledwo co widzianych cudów, obudziła we mnie strach i grozę przerażającą. Uciekałem też w kierunku furtki na ulicę. Była to mało znana mi, pusta, szara, bez zabudowań prawie, ulica na krańcu miasta.

W obdartym i poplamionym ubraniu, znużony tak, jakbym zrobił pięć milionów mil drogi, powlokłem się i, wśród chmurnie wilgotnego wieczora wsiadłem do dorożki i powróciłem do domu. Oto jest moja przygoda, która niewątpliwie świadczy o pewnym rozstroju. Co pan doktor o tym sądzi?

— Weźmiemy pana na hydropatię<sup>8</sup> — odrzekł doktor po namyśle.

Samobójstwo

---

<sup>8</sup>hydropatia — wodolecznictwo. [przypis edytorski]

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lange-w-czwartym-wymiarze-nowe-mieszkanie>

Tekst opracowany na podstawie: Antoni Lange, W czwartym wymiarze. Opowiadania, wyd. drugie, Spółka nakładowa "Książka", Kraków [1912].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: [crsan@Flickr](mailto:crsan@Flickr), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).